

**Stanisław JAWORSKI, relacja**

nagrana 8 i 30 sierpnia 1994 w Warszawie przez Tomasza Gleba

Archiwum Peerelu - Ośrodek KARTA

[dotyczy: cele śmierci, więźniowie polityczni w PRL 1944-56]

\* \* \*

[Zostałem aresztowany] w maju 1947 roku w Warszawie, chyba 20 maja. A zwolniono mnie w grudniu 1956.

Pyt: Z Wronek?

Nie, mnie przywieźli na operację na Mokotów, bo we Wronkach zachorowałem na żołądek - wrzód, który pękł do wewnątrz...

Mnie namawiali [koledzy], żebym poszedł na proces Humer. Powiedziałem: "Szkoda mojego zdrowia". Po co? Jakbym poszedł, to owszem - z bronią w rękę, strzeliłbym mu. Nie w łeb, w łeb nie wolno - przestrzeliłbym mu kolana, żeby do końca życia czuł, co to znaczy męczyć się.

To był bydlak. Mnie zabrano z domu do MBP na Koszykową, [postawiono] twarzą do ściany, i słyszę głos:

- A to kto?

- A to ten słynny pan Stanisław.

Ja słynny? No nie wiem... Podszedł [Humer], złapał mnie za włosy:

- Takich jak ty to na drucie trzeba wieszać, żeby pomału łeb mu odpadał.

To była gnida; niestety, w polskim mundurze bydlę chodziło - major. Tych, z którymi na początku miałem do czynienia, jak na złość pamiętam z nazwiska: major Humer, major Serkowski, major Wolski albo Wroński, ale chyba Wolski, taki kawał byka. [-]

Humer to było straszne bydlę. Widziałem, jak kiedyś oprawiał jakąś kobietę (coś mnie podkuśliło wejść na stołek [w celi] na X oddziale)... Trzech ich - Humerę poznałem, miał charakterystyczną figurę... Ja miałem bardzo dobry wzrok, nazywali mnie "Sokole Oko". Jego poznałem, Czterech ich było - jak katowali tę [kobietę]. No ale akurat ktoś szedł, musiałem zeskoczyć. Ale oni oprawiali tę kobietę nie na X oddziale, tylko w piwnicy na ogólnym oddziale [na Mokotowie].

Pyt: Pan był aresztowany w jakiej grupie?

Nie wiem czy Pan słyszał o takim panu [Witoldzie] Pileckim. Ja jestem odprysk sprawy Pileckiego. Ja przyjąłem magazyn broni [grupy Pileckiego]. Mieli przyjść i to zabrać poza Warszawę. I byłem w grupie, organizującej przerzut ludzi przez Szczecin na Zachód. Lwia część ludzi [przerzucanych na Zachód] to były żony oficerów, którzy tam zostali, i którym by tu, przypuszczam, nie było słodko żyć.

Zamiast ludzi pana Pileckiego przyszli panowie "smutni". Była taka skrytka, żeby jakby nie było kapusia, to musieli by dom rozebrać [żeby ją znaleźć]. To był stary dom i piec na szynach. Odsuwało się piec i tam była wnęka jak ta szafa, ale głębsza, szerokości pieca. Ja sądzę, że tę skrytkę [wydał Pilecki], nie wytrzymał śledztwa...

Ja Pileckiego nie poznałem, ale oni go wezwali do mnie na sprawę - po prostu ci "bohaterowie Sowieckiego Sojuza" chcieli zobaczyć tę legendarną postać. A on powiedział, że mnie nie zna, i ja powiedziałem, że go nie znam. Na rozprawie.

Pyt: A gdzie był ten dom ze skrytką?

Mieszkałem tam. Na Śliskiej 50, [numeru] mieszkania nie pamiętam, żona pamięta, bo ją z tego mieszkania wyrzucono.

Pyt: Wspomniał Pan o kapusiu...

Ja podejrzewam osobiście, że to był pan Chamski, Andrzej on miał bodajże na imię. [-] Człowiek, jeśli wlaź w taki kocioł - trudno i darmo, żeby go tak puścili. A później on

[Chamski] jeszcze, jak skończył się kocioł - bardzo dużo było ludzi w tym kotle - on jeszcze później przychodził do mojej żony wypytywał, kto tu przychodził... Głowę dając, że to był kapuś.

Tak czy tak, już grupa Pileckiego była sprzedana. A tajemnicę tego pieca to podejrzewam, że nie wytrzymał śledztwa Pilecki. [-]

Miałem proces w zakładzie fryzjerskim na Mokotowie [w więzieniu mokotowskim]. [-] Na sali siedziało nas czterech [oskarżonych], i 3 psy - jeden na czterech łapach, a dwa na dwóch, klawisze. Żona wzięła adwokatkę [mec.Grabowska], to zabrali jej prawo do obrony. Potem mnie bronił z urzędu mec.Maślanko - to on mnie po prostu oskarżał. Ale ja byłem pewny, że będzie wyrok śmierci i że wyrok wykonają. Pan Różański powiedział mi wręcz, że on mnie wyprowadzi pod mur, roz..., i jemu nikt nic nie zrobi.

Pyt: Chodziły słuchy, że Różański sam kogoś rozwalił?

Tego nie słyszałem. Ale to jest możliwe. On chciał, żebym ja uciekł z więzienia - oni mi umożliwią przejazd do Anglii i żebym ja przywiózł tutaj kogoś. W pierwszej chwili powiedziałem [zgoda], ale on powiedział: "Tu zostaje matka, żona, dziecko". No to powiedziałem, że nie skorzystam.

Pyt: Kiedy odbyła się rozprawa?

W październiku 1947 roku. Stosunkowo szybko - bo chodziło o tego Knyrewicza.

Gdy wracałem z jednej drogi, zaczął mnie gościć ze szkoły powszechnej - Reniuk, nie pamiętam imienia. Ja byłem w numdurze amerykańskim, bo nam w obozie dano te mundury. Ja byłem wychowany przez konspirację, ale raczej Polakom się wierzyło. Tym bardziej takim, jak ten - chodziłem z nim parę lat. Trochę porozmawialiśmy. I on tego Knyrewicza Leona - którego ja notabene w ogóle nie znałem, i nikt nie znał - wciągnął do nas. On [Reniuk] prawdopodobnie nie wiedział, że ja już jestem związany z grupą Pileckiego. Kazał Knyrewiczowi - on pracował w biurze ochrony rządu - kazał mu wziąć in blanco [formularze]... Chciał jakąś aferę zrobić - a nie wiedział, że już jest afera. [nieczyt.]

Zaraz tego Reniuka - w czasie kotła! - wypuścili. Kto to był? - kapuś, prowokator. Także czy tak, czy tak, w końcu bym wylądował [w bezpieczeńce].

W książce [Jana Wiesława Wysockiego, o rotmistrzu Pileckim] jest napisane, że Knyrewicz był u Kilima [Władysława]. A on Kilima nie znał, bo Kilim mieszkał w tym samym domu co ja, ja go wciągnąłem do siatki, bo wiedziałem, że powstaniec, był w AK... Ale widocznie chcieli kryć tego Reniuka, pewnie jeszcze dużo ludzi wpakował. Istnieje pewnie u ministra Milczanowskiego...

[-] Ostatnie słowo - dziękuję, nie będę gadać. Co ja miałem gadać, jak ja w akcie oskarżenia przeczytałem: "organizowanie buntów na granicy"... Jakie ja bunty organizowałem? Nigdy na granicy nie byłem, bo przeprowadzałem ludzi tylko do Szczecina - "Droga ku Słońcu", nie wiem, czy Pan słyszał - odbierali ich [inni ludzie].

Pyt: Na sądzie Pan tylko był?

Nas czterech było: Kuczyński [Stanisław], Knyrewicz, Kilim Władysław i ja. Wyrok nam odczytywano w dawnej kaplicy więziennej, gdzieś na górze, na strychu. No i czyta: Stanisław Kuczyński - kara śmierci, Stanisław Jaworski - kara śmierci i 15 lat więzienia, łączny wyrok kara śmierci, Knyrewicz - kara śmierci, Kilim - kara śmierci. No i oni zaczęli płakać. Fakt, że i mnie tam trochę dusiło, no ale... Mówię: No i czego płaczecie? Rozwalą was i spokój, a mnie? Nie wiem, czy będą trzymać 15 lat, a po 15 latach wykonają, czy wykonają i potem 15 lat będą trzymać?... To pan prokurator:

- To taki wesoły?

- A jak? Płakać będą? Wy płaczcie, że niewinnych ludzi skazujecie.

Przyszedłem do celi - wystraszony wzrok mojego współwięźnia. W celi poprzewracane

wszystko do góry nogami, żebym broń Boże nie powiesił się sam, bo kto miałby przyjemność strzelić mi w tył głowy.

Zaraz po wyroku, może pół godzinki, przylecieli z kartką papieru - pisać do Prezydenta o ułaskawienie.

- Ja owszem, będę pisał, ale o rewizję procesu.

- To nie ma co, piszcie o ułaskawienie.

Panie, chwileczkę. Jak będę pisał o ułaskawienie, to ja przyznaję się do winy. A ja jestem niewinny i chcę pisać o rewizję procesu.

Nie dali mi spać. W nocy w końcu przyszedł ten pol-wych czy ja mu tam, spec, zaczął mi tłumaczyć: "po co...? napiszcie...".

To ja w końcu, dosłownie, napisałem: "Proszę o zmianę wyroku". [-]

\* \* \*

Dwa nazwiska [współwięźniów] zapamiętałem: Rysiewicz z WRN, "Wolność-Równość-Niepodległość", dawna konspiracyjna partia socjalistyczna. Drugi to Wojciechowski, to Panu opowiem.

Pyt: Rysiewicza Pan spotkał na Mokotowie?

Tak, na X oddziale. Siedziałem z nim później, jak mnie ułaskawili.

Jak miałem wyrok [śmierci], to siedziałem z takim panem Wróblem, taki smarkacz ze Śląska, podobno straszny partyzant, straszny działacz, rozmowny... Ale ja od razu wiedziałem, że nie warto mówić do takiego pana, który podobno żonglował granatami, pistoletów to miał tyle... Aż mówiłem:

- Panie, to ile Pan miał kieszeni?...

Do nas dołączyli jeszcze Ukrainka - Horbowy albo Horbowyj, prawnik, prawdopodobnie z UPA i z tego ich rządu ukraińskiego. On mówił, że Polaków nie mordował...

- Ja byłem normalnie w rządzie ukraińskim...

- Panie, mnie nie obchodzi, gdzie Pan był.

Ten pan Wróbel kilka razy rzekomo chodził na śledztwo, przychodził bardzo zadowolony, miał kupę papierosów zawsze. On gadał z Horbowym, ja raczej odizolowałem się od nich, siedziałem w swoim kącie. Tego Horbowego wezwali kiedyś na śledztwo, poszedł - i słyszymy straszny huk. Po paru minutach mnie wołają na śledztwo. Ja patrzę - tego Horbowego niosą na noszach. Mnie od razu twarzą do ściany... A tam był taki jeden oddziałowy, mówi:

- Ten wasz... skoczył.

Nie wiem, jakie były dalej jego losy. Zabrali z celi jego rzeczy, wszystko.

Jakiś czas po Horbowym przyszedł do nas taki góral, nazwiska nie pamiętam. On zdaje się uciekał im kilkakrotnie, bo stale ćwiczył. On krótko siedział z nami. On był od "Ognia". Mówię:

- To jakiego wyroku się pan spodziewa?

- Ja? W zawieszeniu.

- Jak Pan dostanie wyrok w zawieszeniu, to mnie z honorami odprowadzą do domu.

- Panie! W zawieszeniu... [za szyję].

Na drugi dzień go zabrali. Zdaje się, tak sędzę, że on nie doczekał sprawy. Bo nic, nic nie było o nim...

Pyt: Myśli Pan, że go po cichu gdzieś załatwili?

Myślę, że po cichu go załatwili.

Mnie zaraz po tym, jak mnie skazano, zabrano od pana Wróbla, wsadzono mnie do celi pana Wojciechowskiego. Przedstawiłem się i mówię:

- Nie będzie się Panu wesoło ze mną siedziało, bo będzie się w nocy światło paliło, bo mam

karę śmierci.

Podszedł do mnie, dziwnie spojrział w oczy i mówi:

- Pan będzie żył. Nie wykonają wyroku.

On albo udawał, albo miał pomieszanie zmysłów, na tle religijnym. Powiedział, że jest z NSZ i że będzie wisiał. On mi od razu swoje łóżko [chciał oddać] - bo na X oddziale były pojedyncze cele, gdzie przważnie siedziało nas dwóch; łóżko i siennik. On łóżko [chce mi oddać]:

- Panie Wojciechowski - mówię - dakj Pan spokój, ja jestem młody, a Pan jest starszy człowiek, ja na łóżku nie położę się.

No i tak. Ani z nim porozmawiać, ani nic. Cały dzień albo krzyżem leżał, albo chodził po celi. Zażądałem oficera, "specja" tak zwanego. Przyszedł, mówię [...] Przyniósł książkę Antoniego Gołubiewa "Bolesław Chrobry". To jest naprawdę wspaniała [książka]. Sześć czy siedem tomów. Wspaniała książka. Jak zaczytałem się w niej, zapomniałem [o rzeczywistości]. Pomogło mi to. Nie myślałem, jak będą wykonywać [wyrok] - chociaż trochę słyszałem, że w piwnicy wykonują...

[Któregoś razu] Czytam tę książkę, tyłem do celi, żeby światło dobrze padało, i słyszę - po celi chodzi... A ten pan Wojciechowski miał buty (długo musiał siedzieć), bo w bucie zelówkę urwaną i tak chodził: "klap... klap...". I tak chodzi. Mówię:

- Panie Wojciechowski, połóż się pan, śpij pan, daj pan odpocząć w nocy.

On nic nie mówi.

- Połóż się pan... - mówię.

Proszę pana, nie wiem, czy pan miał kiedyś coś takiego - włosy dęba, dosłownie, czuję, [stanęły mi]!... Jak on może chodzić po celi, kiedy buty są na zewnątrz. Akurat słyszę - te kroki idą do okna. Czekam, jak on będzie szedł do drzwi... [Nikt nie szedł, m widzę, że on leży w łóżku i śpi]. Złapałem go:

- Panie Wojciechowski, panie Wojciechowski, obudź się pan, ktoś po celi chodził!...

[Półprzytomny] odpowiada:

- Chodź pan, pomodlimy się.

- Dobrze, pomodlimy się.

Już sam się chciałem pomodlić. Wtedy byłem przekonany, że wyrok wykonają.

Pyt: Czyli okazało się, że on spał, leżał, tak?

Tak, on leżał.

Za dwa dni czy za dzień jest inspekcja; przychodzi oficer, w polskim mundurze:

- Nu, szto u was?...

- Panie majorze, jeśli chcecie rozstrzeliwać wariata, to trzymajcie mnie tu dalej. Przecież zrozumiecie, ja z takim człowiekiem nie mogę siedzieć, ja muszę chociaż parę słów [z kimś zamienić]. Albo łeb rozbiję o tę rurę tu.

- Nic, nic, was nie rozstrielają... Ale nicie, budiet [haraszo]...

Tego samego dnia wieczorem zabrali mnie i dali mnie do tego pana Rysiewicza. Jego ojciec był socjalistą, dziadek... Dużo rozmawialiśmy, bo on był dość elokwentny. Chłopak obyty, trochę chyba starszy ode mnie. On się też spodziewał kary śmierci.

- Ale co Pan zrobił? - pytałem.

- Wystarczy, że nie jestem z nimi.

Pyt: Czyli on był jeszcze na śledztwie, a Pan już po wyroku?

Tak. Ja mówię:

- Dlaczego pan [jeszcze] ma śledztwo?

- Czekają, aż złapią nas więcej. Ode mnie nic nie wyciągnęli, to może złapią innych...

To chyba było 6 grudnia [1947], w Mikołajki - jest apel, mamy się rozbierać - trrach!

otwierają się drzwi, [...]. Ocho, to już ja usztywniłem się - człowiek przygotowywał się na to, żeby nie zeszmacić się. Idę, nogi sztywne jak u Frankensteina. Dochodzę [do schodów]:

- Na dół? - mówię.

- Nie, na górę.

Myślę: to tam mnie odczytają "nie skorzystał z prawa łaski...", a dopiero później na dół. Idę tam, a tam [naczelnik więzienia?] mi daje, żebym przeczytał. Czytam: "Kuczyński, Jaworski, Kilim...". Te literki zaczynają mi skakać do oczu i mówię:

- Wie pan, ja nie mogę tego przeczytać.

- Macie ułaskawienie. Na dożywocie. Kuczyński, Jaworski i Kilim, zostaliście ułaskawieni na dożywocie. Podpiszcie.

Koniec. Usiadłem, nogi zupełnie z waty, on mi daje długopis czy nie wiem, co - [ręka drży], nie da rady [się podpisać].

- Ja tego nie podpiszę, nie mogę.

- Musicie.

Jak ja podpisałem, to nie wiem, czy dziecko z pierwszej klasy lepiej by nie napisało.

- Oddziałowy, odprowadźcie.

Ja podnoszę się, i nic, nie mogę. To kazał zawołać jeszcze jednego, wzięli pod pachy, po schodach, otwierają drzwi [celi], już Rysiewicz otworzył łóżko, wprowadzają mnie - a on tak [Rysiewicz] tak tyłem, tyłem, do ściany [sofa się], i te oczy takie wystraszone:

- Panie Jaworski, co jest?...

- Ułaskawili na dożywocie.

Pierwszy raz widziałem człowieka tak uradowanego. On prawie głową do sufitu skakał. Złapał mnie, całuje, ściska...

- Człowieku, i ty [się nie cieszysz]?

- Chwileczkę, panie Rysiewicz, niech Pan się liczy z tym, że ja szedłem [przekonany], że idę na rozstrzał.

Wszystkie siły... Trudno mi to Panu wytłumaczyć... On mnie rozebrał, położył, nawet oddziałowy żaden nie powiedział, żeby stanął do apelu. Ale to była reakcja, bo ja byłem święcie przekonany, że mi wykonają wyrok.

Jeszcze był taki oddziałowy, którego nazywaliśmy "Poniatowski". Chodziły słuchy, że on prawdopodobnie strzelał [wykonywał wyroki]. Kawał szuji. Jak on w nocy miał służbę, wiedział, że nas jest czterech skazanych [na śmierć], (ja nie wiedziałem, gdzie my siedzimy, mógł Pan z rodzonym ojcem siedzieć i nie wiedział Pan), noc (a wiedzieliśmy, że w nocy na rozstrzał biorą): Trrrach! trrrrach! trrrrach! Trzy razy. To już człowiek sztywny, siedzi na pryczy, czeka. Dochodzi do celi - i odchodzi...

To takich kilka nocy, to można zwariować? Można. Ja nie wiem, skąd były te siły. Mnie trzymała wiara. Współczuję tym ludziom, którzy nie byli wierzący. Mnie trzymała wiara, tylko i wyłącznie. Niech Pan nie myśli, że ja jestem jakimś bigotem. Nie. Jestem bardzo wierzący, od dłuższego czasu nie chodzę do kościoła ze względów moich osobistych, ale wiary mi nikt nie odbierze. [-] To mnie trzymało cały czas. Niech mi Pan szczerze wierzy, że mi takich ludzi jak Stalin, Hitler, jak Humer i inni oprawcy - to mi ich żal. Nie wiem, czy Pan widział Humera, jak do niego kobieta podeszła i rękę podniosła, i jak on się zastaniał... To tchórz. Jego sumienie gryzie. Co Zarakowski powiedział? On powiedział, że wolałby, że wykonali wyrok na nim. Ja wierzę w to.

Ale wróćmy do sprawy. W styczniu 1948 roku kazali nam się pakować i wzięli nas do pociągu. To był skład więźniarek. Palili niesamowicie, upał! Ta celka zamknięta, malutka, jeden przy drugim przytulony. Upał, pić się chce. Zaczęliśmy pukać, żeby konwojenci - KBW - dali nam pić. Ze dwa czy trzy psy były [...]. W końcu jeden [z konwojentów] do mnie

mówi:

- Gdzieście się tak po polsku nauczyli?
- Jak to ja? Przecież ja jestem Polak!
- Jak to Polak?
- Akowiec.
- Kto?
- Akowiec.
- I to wszyscy?
- Spytaj Pan.

Młody chłopak, w wojsku.

- Jak to, to wy nie jesteście esesmani?
- Panie, czy ja wyglądam na esesmana? Ja jestem akowcem, powstańcem warszawskim...  
Pootwierali nam cele, słowo pan powiedział, już miał pan wodę, psy uwiązali na krótko przy końcu [wagonu]... To była nasza ludowa władza. Oni całemu narodowi straszną krzywdę [zrobili], wypaczyli tych ludzi okropnie! [-]

\* \* \*

Jak wyszedłem z więzienia, to mnie powiedzieli, że ja muszę dostać pracę. Żonę wysiedlili na Zachód (była święcie przekonana, że jedzie na Sybir), do takiej wioski w zielonogórskim, gdzie było 2-3 tysiące ludzi. Przez rok nie dostała pracy. Musiała powiedzieć, że nie żyje z mężem - nie żyła, bo przecież ja siedziałem w więzieniu - i wtedy ją przyjęli. Już [po moim zwolnieniu] dostała mieszkanie w większym miasteczku Chocianów, 3-4 tysiące mieszkańców. Co ja miałem tam robić? Moja żona nie miała nic, w płaszczu letnim chodziła do pracy. But jak wziąłem, to 3 kilogramy ważył. [-]

\* \* \*

W styczniu 1948 przywieźli nas do Wronek. Jak te chłopaki [z KBW] się dowiedzieli, że my jesteśmy akowcy, to do nas był zupełnie inny stosunek. Ten chłopak [konwojent] podszedł do mnie:

- Ja panu dziękuję, że pan nam to powiedział...

Chyba z 5-6 bram na dziedziniec. Na dziedzińcu kazali nam usiąść, rozebrać się do naga w śniegu, później wpędzili nas na korytarz, stoimy tam nago, wielki korytarz... Ze mną przyjechał cały uniwersytet wileński. Kupa profesorów z tego uniwersytetu. Staruszkowie. Kuczyńska [żona Stanisława Kuczyńskiego] pamięta nazwiska, ja pamiętam tylko jednego - profesor Zieliński. Wysoki, historyk. Zapamiętałem to nazwisko z tego względu, że ja zakochany jestem w historii. Żałuję, że nie poszedłem [na historię].

Ubrania w garści, i każą nam nago biec po schodach, a tam komendant Pawilonu I Andrzej Krzewina. Tylko niech Pan nic złego o nim nie mówi. On krzyczy:

- Nie po chopie!... Nie po ptoku!...

A tam na tych schodach z pasami oddziałowi nas bili. A "ptok" to było tak: "ambona", jak myśmy to nazywali, tam komendant siedział, na śniadanie, na obiad dzwonił, i taki był plac, rondo, na środku był orzeł, chłop i robotnik z sierpem, sobie rękę podają. Prosta droga prowadziła przez tego "chopa" i przez tego "ptoka". To poznaniak był, dla niego to był "chop" i "ptok". Ja młody, wysportowany chłopak, dużo tych pasów nie dostałem, ale ci profesorkowie starzy dobrze tam dostali.

Na oddział 1 B. Na samym dole. Do cel nas powsadzali, przebierać się w niemieckie łachy, koszule szare, a wszystko do depozytu. Miałem taki krzyżyk drewniany - nad drzwiami wisi - ciotka mojej żony przywiozła go z Ziemi Świętej. To był krzyżyk podobno z drzewa z Góry Oliwnej. Ja go nosiłem na szyji. Ta ciotka mi powiedziała: "On ciebie obroni". Tego nie oddałem. Kilka razy próbowali zerwać mi go. Nie pozwoliłem. Cały czas miałem go.

Przeszedł ze mną całe więzienie.

Jeszcze wtedy, w 1948 roku, w celach były takie wizytówki. W każdej celi było nas sześciu - gdzie przed wojną był jeden. Bo Wronki to było ciężkie więzienie, były pojedynki, prócz tego na [oddziale] 4 B i na 3 D były tzw. "szafy". Jak Pan stanął i wyciągnął łokcie, to to była szerokość celi. I kibel, stołek przykuty do ściany i blat stołu też przykuty do ściany.

Tam była taka instytucja "porządkowy". Czyli pośmieciuch, kalifaktor. Wpadają:

- Okuloki wota! Okuloki wota!

Ki diabeł, co to jest? Zwracam się do profesorów, może oni wiedzą - nie wiedzą.

- Co chcecie? Co to jest "okuloki"?

- Oddziałowy, oni nie wiedzą, co to jest okuloki!

Okazało się - drewniaki.

[W pewnym momencie słychać]: "Hau...hau...hau". Ponieważ byłem najmłodszy i najwyższym z nich, to zrobili mnie starszym celi. Starszy celi musiał meldować celę:

- Obywatelu oddziałowy, melduję celę, obecnych tyłu...

Ale co to jest to "hau, hau"? Psy [każą udawać]? Mówię:

- Co będziemy z nimi zadzierać? Chcą szczekać, będziemy szczekać.

On [oddziałowy] otwiera drzwi, a tu: "Hau, hau, hau!"...

- Co? Co to jest? Bunt?

- Jaki bunt - mówię - Szczekają wszyscy, to i my.

- Jak to szczekają. Porządkowy, chodźcie tu. Mówiliście, co trzeba mówić?

- Chyba tak.

- Chyba, czy tak?!

- Może ominąłem...

Okazało się, meldowało się "obywatelu oddziałowy". Kamienny budynek, to nie słyszało się tych słów, tylko "hau, hau, hau...".

\* \* \*

UZUPEŁNIENIA [nagrane 8.08.94 w Warszawie przez T.Gleba

Knyrewicz został aresztowany u Kilima, a Kilim w ogóle nie znał Knyrewicza. Ja zresztą też nie znałem Knyrewicza. Tylko Reniuk, [mój] kolega, psia jego nędzka, ze szkoły powszechnej, [znał Knyrewicza].

Pyt: To jest niejasne z Reniukiem i Knyrewiczem - Pan spotkał Reniuka i on polecił Knyrewicza [do organizacji]?

Nie, on nie polecił. On [Reniuk] zdaje się był na mnie nastawiony. To był prawdopodobnie ubek, prowokator. No bo tak ni z gruszki ni z pietruszki znalazł się w mojej dzielnicy zamieszkania. Zobaczył mnie w tym mundurze [battle-dress]. A człowiek "szkolony" w konspiracji, że Polakowi trzeba wierzyć. (...) Tym bardziej, że te 7 lat chodziliśmy do jednej szkoły. Marian on [Reniuk] bodajże miał na imię.

A ja akurat przyjechałem z drogi [kiedy mnie Reniuk spotkał], bo nowy transport szykowaliśmy; z drogi przyjechałem, zmęczony... Przeważnie się jechało w mundurze [battle-dress], bo więcej zaufania budził u ludzi. (...)

Knyrewicz straszne bzdury gadał na rozprawie - że ambasadzie amerykańskiej przez parkan rzucał jakieś podania, materiały... Bzdury takie. Musieli go tam porządnie zmaltrretować, bo wie pan - 1947 rok, człowiek, który był przyjęty do ochrony rządu... musieli mu tam dobrze w kość dać.

W 1939 roku na Boże Narodzenie, na Wigilię, składałem przysięgę do SZP. Bo ja byłem w "Strzelcu", tam kończyłem kurs rekrucki, w 1939 we wrześniu miałem iść do wojska, dostałem przydział - Zmotoryzowane Przeciwlotnicze [nieczyt.] na Okęciu. Jak wyszedłem

ze "Strzelca", miałem starszego strzelca od razu. Całą grupą żeśmy się znali, zwąchaliśmy się... Tam taki był sierżant, pseudonim "Tata", bo chciał syna, a córek miał pięć czy sześć, nie mógł się ich doliczyć... On nawiązał kontakty, zebrał nas w sekcję pięciu. I tak było: w zakładzie fryzjerskim składałem przysięgę pierwszą i w zakładzie fryzjerskim dostałem wyrok. Ironia losu, czy ja wiem? Fatum? Trudno powiedzieć, co to jest.

Pyt: Jak to się stało, że się Pan znalazł w grupie organizującej przerzuty na Zachód?

Jak wróciłem z Niemiec z niewoli niemieckiej, to z całego mojego batalionu "Bończa" z trzech kompanii ledwie jedna się została. Z tego wszystko poszło do niewoli dalej, a ja jako ranny zostałem niestety pod Magdeburgiem, w Altenbremer. W 1945 roku jak się zaczęło: "zapłuty karzeł reakcji", to nas trzech postanowiło uciekać na Zachód. Pogadaliśmy z kolejarzami, oni nam zrobili - to był lipiec 1945 - zrobili nam taką lorę, tam było prasowane siano dla Ruskich, i myśmy tam sobie wleźli.

Pyt: Mieliście być ukryci na tej lorze?

Tak. Tam zrobili nam taki pokoik.

Pyt: Gdzie to było?

W Warszawie. Ale ta lora, ten wagon zamiast iść na Zachód do Niemiec, to poszedł na te "Ziemie Wycyckane" [Odzyskane]. Gdzieś międzyu Wrocławiem a Jelenią Górą - pociąg stoi. Aa, to znaczy się, że jesteśmy na Zachodzie. Wyleźliśmy, idziemy, patrzemy - idzie jakiś człowiek z białą opaską na rękę. Pytamy:

- Czy to Niemcy czy Polska?

A on mówi, że... Polska. Uuu! To nam się gorąco zrobiło. I co, zastrzelić człowieka? No za co? Ale już nie do stacji idziemy, tylko w drugą stronę.

Pyt: Z kim Pan jechał na ten Zachód?

Z kolegami z obozu. Ale wybaczy pan, tych nazwisk nie wymienię. Ja bym musiał się z nimi porozumieć.

Pyt: Czy pomoc tych kolejarzy była w ramach jakiejś organizacji?

Tego nie wiem.

Przyjechaliśmy do Warszawy, a tu akurat "Głos Ludu" zdaje się, taka gazeta [zamieszcza artykuł, że] oni nie mają nic do żołnierzy, tylko do oficerów, przepraszają... [nieczyt.]

Człowiek chciał się ustabilizować, konspiracji miał dość. Wtedy zwróciłem się z powrotem do żony. Zakochałem się na śmierć. Jak już się ożeniłem, to do żony ciotki przyjechał ten Niewiarowski, porucznik Armii Krajowej. On pyta:

- Jak ty się tu czujesz?

A tu jednego aresztowali, tu drugiego... Już zaczynało być gorąco. Mówi:

- Chciałbyś stąd uciec?

- Pewnie, że chciałbym. Tylko musi troszkę się dziecko odchować.

- Wiesz, ja przyjechałem po kogoś. Pomożesz mi?

- Naturalnie, że tak.

On miał kontakt z grupą Pileckiego [?]. (...)

Pyt: Pan o Pileckim słyszał wcześniej?

Tak, słyszałem, jak nie słyszeć w konspiracji o Pileckim? Ja jego życiorys lepiej znałem jak on sam, bo wszystko opisywali w Biuletynie Informacyjnym. Pamiętam, że słyszeliśmy o nim dużo i głośno. To przecież komu pan zaufa jak nie takiemu człowiekowi? (...)

Pileckiego wezwali na świadka na moją rozprawę, bo ja miałem wcześniej rozprawę, a Pilecki w 1948 roku dopiero dostał wyrok śmierci. Widziałem go [z bliska], minąłem go [i nie poznałem], a miałem fotograficzną pamięć wzrokową.

Pyt: Pan wcześniej widział go w ramach działania tej grupy "Droga ku Słońcu"?

Tak, tak. Ja z jego rozkazu przyjąłem magazyn [broni].



Ja kategorycznie twierdzę, że Reniuk to był prowokator. I jeszcze jednego też podejrzewam - człowiek, który przyjechał z tamtej [zachodniej] strony, wpada w kocioł u mnie i go z tego kotła zwalniają, po kotle przychodzi do mojej żony pytać się, czy...

Pyt: Chamski, tak?

Chamski.

Pyt: Chamski był też w tej grupie?

W tym rzecz, że on nie był w tej grupie. Ja czytałem akt oskarżenia, tam w ogóle nie spotkałem się z nazwiskiem Reniuk ani Chamski. O Chamskiego mnie nie pytano, tylko o Reniuka - zaraz potem, jak on wpadł z tym Knyrewiczem. Pokazali [jego] fotografię:

- Kto to jest?

- Kolega ze szkoły. Po prostu spotkaliśmy się (...).

- A wciągnął by go pan?

Ja mówię:

- Panie kochany, ja nie byłem do tego, żeby ludzi wciągać. Po prostu myśmy porozmawiali i potem się rozeszli.

Pyt: Kiedy Niewiarowski się pojawił? Kiedy Panu zaproponował tę pracę?

W kwietniu 1947.

Pyt: "Droga ku Słońcu" to była nazwa ulicy?

Tak, w Szczecinie. Tam zaraz po wojnie była granica lądowa. Ruscy byli tam. Ja doprowadzałem [nad granicę ludzi przeznaczonych do przerzutu], Niewiarowski [przysyłał] Niemców-przewodników.

Pyt: Pana zadaniem było przewiezienie ludzi z Warszawy do Szczecina? I przekazanie Niewiarowskiemu?

Nie. Każdy na swoją rękę jechał do Szczecina. Ja tylko dwie osoby przewoziłem: ośmioletnią dziewczynkę, córkę oficera, i jedną panią. To je podwoziłem do Szczecina, do punktu - w Szczecinie był punkt zborny, w pensjonacie. Stamtąd zabierał ich przewodnik, po kilkanaście osób.

Pyt: I wasza droga biegła tą ulicą "Droga ku Słońcu"?

To się tak nazywało - "Droga ku Słońcu". Taka tablica była - biała decha i tam napisane: "Droga ku Słońcu" czy "Droga do Słońca". (...)

Jak wróciłem [ze Szczecina], on [Niewiarowski?] mi dał adresy, mówi:

- Dostaniesz jeszcze, przyjedzie ode mnie łącznik

Ten Kuczyński [był łącznikiem]. W tej książce [Wiesława Wysockiego o Pileckim] jest napisane, że Kuczyński w 1946 roku był aresztowany w Krakowie. To jak on, w 1946 aresztowany - jakim cudem tam by pojechał i taki głupi by był, że by tu przyjechał z powrotem jak by wiedział, że go znają. Nie ma cudów takich.

Pyt: Pan się z Kuczyńskim po wyjściu z więzienia spotkał?

Spotykałem. On dostał unieważnienie wyroku, nawet przyznali mu odszkodowanie - i nie zdążył wziąć, umarł.

I z Kilimem spotykałem się. Nieciekawy typ się zrobił. On się załamał widocznie w więzieniu. Wyszedł i... [pił].

Pyt: Podejrzewa Pan, że powydawał ludzi i z tego powodu [zaczął pić]?

Nie. On [Kilim] nic nie powinien dostać [wyroku], maksimum dwa lata - że "wiedział, nie powiedział". Ale nie karę śmierci. Raz dałem mu dwa adresy i on pojechał, załatwił i tak włączył w to. On nie był w ogóle w Szczecinie, tylko pojechał do Krakowa, Bydgoszczy, Torunia - ludzi z całej Polski się sprowadzało, umawiało się w Szczecinie. Ludzie byli zagrożeni, dużo oficerów. To jemu dali [zarzut o] szpiegostwo. Co on wiedział o szpiegostwie? A to ten sukinsyn Reniuk to zrobił.(...)

Pyt: Granicę przekraczano tą właśnie "Drogą ku Słońcu"?

Tak.

Pyt: To była trasa [przerzutu]? I tam była granica?

I za granicą znowuż tam mieliśmy [Niemców-przewodników]. Niemiec z nami konspirował. Widzi pan, jak to jest? (...)

Ja dawałem [ludziom przetrucanym] adres w Szczecinie. Tam przychodziłem, tych ludzi odbierałem, przeprowadzałem na granicę - było umówione, kiedy - na granicy był łącznik... Mnie się nie podobało, że bez broni [byłem]. No jak to? A jak Ruskiego spotkam, to co?

Pyt: I Pan się zatrzymywał na tej Drodze ku Słońcu, przekazywał Pan ludzi, odwracał się i wracał z powrotem.

[Tak]. Łącznik zabierał po 3-4 osoby, bo jednak były te kontrole, patrole ruskie.

Pyt: To znaczy jednorazowo był przerzut większej, kilkunastoosobowej grupy, ale przez samą granicę "przeciekało" po 2-3 osoby?

Tak, tak. Ale ta granica to była z pół kilometra, [Rosjanie] tam gadali [głośno]: "Te, Iwan!..." - wiedziało się, że już idą...

Pyt: Przewodnikami przez granicę byli Niemcy, tak?

Przeważnie.

Pyt: Niewiarowski przeprowadzał przez sowiecką strefę okupacyjną?

On miał umówionych kolejarzy, pociągi; tu już jego głowa była, nie moja.

Pyt: Czyli Pan na granicy był raz tylko, z tą dziewczynką?

Tak. Ja szykowałem [nową drogę], miał właśnie przyjechać Kuczyński, ale to nie był Kuczyński, tylko była łączniczka: przyjedzie August to ci da hasło... (nieczyt.)

Pyt: Czyli z Niewiarowskim Pan się widział tylko raz w Warszawie?

Później to ja miałem jechać do niego [na Zachód].

Pyt: Czy cała ta operacja przetrucania ludzi na Zachód miała jakąś nazwę?

[Nie].

Pyt: "Droga ku Słońcu" była gdzieś w centrum Szczecina czy pod miastem?

Nie, na zachód, od centrum na zachód kawał drogi.

Pyt: Na pustkowiu?

Nie, tam były domki, były. W tych wszystkich domach było jeszcze więcej Niemców jak Polaków. Tam Rosjanie i Niemcy byli. Raczej Rosjanie nie dopuszczali do granicy niemieckiej.

\* \* \*

Pyt: Kiedy Pana wypuszczono z Wronek?

W 1956 roku. We Wronkach pękł mi wrzód, do środka - jakby pękł na zewnątrz, to już bym nie żył - i odesłali mnie do szpitala. Pojechało nas sześciu. Ja pojechałem na operację, oni też zdaje się, nie pamiętam. W każdym razie nas sześciu pojechało do Warszawy. I jak żeśmy [mieli jechać] - to w czerwcu było - wsadzili mnie na skrzydło D, na pojedynek. I siedzę i siedzę. Skrzydło D we Wronkach to tam administracja była, a na dole były pojedynki. Tam podobno siedział biskup Spred [?] z Gdyni.

Siedzę jeden dzień, drugi - co za pierun jasny? I dają mi [normalne więziennicze jedzenie]. Ja mówię: Ja tego jeść nie będę. Ja mam [dieta] bułkę z masłem, mleko piję - i ja będę to jadł? Znowuż mi nawali żołądek.

Pyt: Zaczęli Panu dawać normalną porcję?

Tak. A ja już miałem wyjechać, już byłem wypisany ze stanu. Dają mi grochówkę. Mówię: Ja tego nie będę jadł. No i szum. Przyleciał oficer polityczno-wychowawczy:

- To wróćcie na salę.

Idę do celi, a oddziałowy:

- Ja myślałem, że wy już jesteście na wolności!

Ja:

- A co się stało?

To porządny facet był.

- Powstanie w Poznaniu!...

Gazet nie ma, nic. Chłopaki pytają:

- Co jest? Co jest?

- Nie wiem - mówię - miałem jechać do Warszawy, nie wiem.

Tam [w celi] był kapuś, ale akurat poszedł do dentysty. Mówię:

- Powstanie podobno w Poznaniu.

I siedziałem w celi. Powstanie się potem skończyło, no i w czerwcu znowu nas wszystkich sześciu wzięli. A tam taki jeden [konwojent] mówi:

- Uważajcie, krok w bok i ja strzelam!

A ja mówię:

- Panie, jak pan zrobi krok w bok, to ja pana za mundur złapię i będę trzymał. Ja już siedzę 10 lat, pan myśli, że ja będę uciekał? Pan uważa, że ja wariat jestem? Jeszcze nie jestem.

Jechaliśmy pociągiem, prawie nie pilnowani - wszyscy byliśmy przeważnie dożywotniaki, to gdzie ja będę uciekał? Wiedziałem, że muszę wyjść.

Przyjechaliśmy na Dworzec Główny na Towarowej. Miała przyjechać po nas więźniarka. Człowiek się zmęczył podróżą - co tam zjadł, suchego [prowiantu] trochę. Ludzie nam dawali cukierki, co pan chciał, wódki. Ja mówię:

- Kochani, ja nie jestem kryminalistą, mnie wódka nie ciągnie. Kawę dajcie, wypiję, wódki nie.

I kawę poczęstowali, papierosów to napchali, ojej, całą kupę.

Jak przyjechaliśmy, to ja zasnąłem na ławce. A ten pan porucznik tych dwóch zostawił żołnierzy, którzy nie chcieli mnie budzić, poszli naprzeciwko, tam był cień, i tam siedli. Ja się budzę - nikogo nie ma... Rany Boskie, jak ja pójdę teraz?! Będę walił do więzienia, nie ma cudów - przecież tak to pięć lat [wyroku]. Zerwałem się, szukam... Oni krzyczą:

- Gdzie lecisz?...

[Ktoś mówi] - nie będziemy tu czekać, idziemy do tramwaju. W tramwaju znowu ludzie:

- Panowie, wy skąd?

- My z Wroniek.

O Boże, znowu:

- Panie, zatrzymaj pan tramwaj, trzeba coś kupić, ciastek...

I to nawet nie Warszawiaki, w Warszawie wtedy może 10 procent było Warszawiaków.

Tak nas przywieźli do Mokotowa. Mnie natychmiast do szpitala zabrali, pułkownik Dermada, zdaje się, lekarz więzienny, zrobił mi operację; mówi:

- Nie wycięliśmy żołądka, tylko oczyściliśmy.

Pyt: Była różnica między Wronkami a Mokotowem wtedy w 1956 roku?

To w samych Wronkach już było lepiej, bez porównania; odkryli u mnie gruźlicę, to dostawałem przez dwa lata dietę odżywczą. Na celi było pięć albo sześć łóżek. Łóżka eleganckie, biała pościel, poduszka, pidżamy, koszula. Przynoszą każdemu łyżkę, widelec, nóż zaokrąglony, talerz, miskę, garnczek... Akurat był obiad - dają zupę w tę miskę. Myśmy to zjedli. Drugie danie - kotlet taki wielki, ziemniaki i jakiś ogórek czy coś...

- To na jednego? - pytamy.

- Tak.

Gdzie to człowiek mógł zjeść? Nie da rady! To ci pośmieciuchy to się cieszyli, bo to zabierali... Na drugi dzień już takiej michy zupy nie brałem.

- To Panu po operacji od razu tak dawali jeść?

Nie, to we Wronkach. Ja miałem początek gruźlicy, to podleczyli... A na kolację wielka bułka, mleko, masło, dżem - to się człowiek poprawił. A później mnie stamtąd zabrali, z półtora roku leżałem na izolacji, tam mi wrzód pękł...

A przedtem jeszcze byłem w Gdańsku na stomatologii, bo miałem kupę zębów wybitych, połamanych, gniło mi to... To mnie tam zabrali, osiem zębów rwać.

W środku tego więzienia w Gdańsku - jak w Sing Sing. Pośrodku taka ambona, tam strażnik, tych korytarzy - idzie pan i idzie. Jak pierwszy raz żeśmy przyjechali, w sześciu nas w jednej celi było, to żeby nas przeprowadzić do tego dentysty, to ich [strażników] aż trzech otwierało. Pytali się:

- Jaki wyrok?

- Dożywocie.

- Aaa, to wy z Wronek, polityczni.

To później oddziałowy nawet naszej celi nie zamykał:

- Idźcie sami.

I ja raz zablądziłem idąc do tego dentysty. Nie znałem tego kryminału... Gdzieś tam zablądziłem do budynku tej administracji, jakaś dziewczyna: "chcesz popierdolić?" - to ja chodu stamtąd! I chodzę tak, mówię [do strażnika]:

- Panie, gdzie ja jestem?

- Toż człowieku, gdzieś tu przyszedł?

Zaprowadził do tego oddziałowego, a ten mówi:

- Gdzie ty, głupi, tutaj stary kryminalista nie trafi, a ty młody...

Jezu, jak ja miałbym tam siedzieć tyle lat, to ja bym nie wyszedł normalny. Nie ma cudów. W nocy [jeden z kryminalistów] do oddziałowego:

- Ty, twoja morda mi się nie podoba...

I sobie brzuch rozpruł jakąś tam blachą, zza okna wyciągnął tego brudu i sobie tam napchał... Oj, żeby mnie tu dawali 10 tysięcy na miesiąc, to za Boga bym nie chciał.

Pyt: Znaczy stara recydywa tam siedziała, tak?

Tak. Sami kryminaliści. Jak przyjechałem do Wronek:

- Panie, ja za Boga nie chcę nigdy do Gdańska, już więcej nie pojedę.

Mówię, nie wiem, czy by pan wyszedł normalny, jak by pan tam dwa lata przesiedział. Ja twierdzę kategorycznie, że ci kryminaliści to nie są normalni ludzie.

Jak przyjechałem na Mokotów [z Wronek, w 1956 roku], to od razu poszedłem do szpitala, i akurat na tej sali, gdzie ja byłem, tam był chłopak. Ten chłopak - to mi pielęgniarka opowiadała (podobno żona naczelnika, bardzo ładna kobieta) miał 17 lat, ojciec inżynier, matka lekarz - wziął drut od kibla, i połknął to. I taki sztywny chodził. Przyszedł zastępca naczelnika, a ten mówi:

- Co, nie podoba ci się, to masz! - i skrzywił się, i mu ten drut wylazł.

- Robić mu operację na żywca.

Jak on przyszedł [po operacji], ja mu mówię:

- Człowieku, co ci to daje?

- A po co mi żyć?

Ona przyszła, pyta, za co siedzi.

- Aa, zrobiłem skok, 50 tysięcy.

- A ileś dostał?

- 10 lat.

- Ile?

- 10 lat.

- Jak to, na rok 5 tysięcy, i tyś poszedł na taki...
- Aa, człowiek głupi jest...
- No icoś ty z tym zrobił?
- No wie pan, dwa-trzy dni się zabawiło, kurwa jedna, druga, trzecia...
- Uuu - mówię - to żeś się dobrze zabawił. I tyś przepił te 50 tysięcy? Czy ukradli ci?
- Tak, wie pan, trzeba przyjść, ojca, matkę przeprosić, trzeba zmienić postępowanie...

Za dwa dni przychodzi jakiś młody człowiek, też taki 17- czy 18-letni - i już po krzyku.

Pyt: Już wrócił "do normy"?

Tak.

\* \* \*

(...) We Wronkach była instytucja starszych porządkowych. Na każdym oddziale był starszy porządkowy, który miał pod sobą tych pośmieciuchów. Podobno na każdym skrzydle - tam były skrzydła A, B, C i D.

Pyt: Tak, więzienie jest na planie krzyża...

Tak. I był pawilon II - szpital, i pawilon IV - kostnica.

Każde skrzydło miało swojego "super-porządkowego" - był po cywilnemu, koszulka czysta, biała...

Pyt: Ale więzień.

Więzień.

To był luty 1948, siedziałem w skrzydle B, oddział I, było w celi sześciu czy pięciu i tyle wizytówek z nazwiskami, koło celi, na korytarzu. Drzwi się otwierają, oddziałowy:

- Jaworski. Wychodzić.

Otwierają tzw. dyżurkę: duża cela, krzesło dębowe, z oparciem. Siedzi [nieczyt.]. On:

- To sobie pogadamy. Nazwisko wasze? Ze sprawy Pileckiego, tak? To pogadamy. Nazwiska.

Ja mówię:

- Mój panie, ja jestem po wyroku, mam tu siedzieć. Mam nowe śledztwo, to proszę, żebyście mnie z powrotem...

- Ee, ty - mówi - kurwa twoja mać, to nie ma, tu będzie śledztwo dopiero! Będziesz gadał!

I wchodzi starszy porządkowy naszego oddziału. To ja wiem, że to jest pośmieciuch. On [śledczy?] do niego mówi po imieniu. Acha, toś ty taki sam więzień, tylko żeś ty kapuś. I on do mnie:

- No to jak, ... twoja mać, będziesz mówił?

No wie pan, ja bardzo kochałem swoją matkę, bo mnie matka, jak ojciec umarł, wychowywała. Poderwałem się i mówię:

- Ty pośmieciuchu, ty mi nie będziesz!...

I za to krzesło i do niego. Albo on miał wielkie szczęście, albo ja - bo ja bym go zabił. Tylko on pochylił się i ja [uderzyłem] w ścianę czy w stół. To krzesło mi się rozwaliło, długi taki drąg z tą nogą został. On skoczył do drzwi i zatrzasnął drzwi, a ja w te drzwi... Dostałem szau, widziałem celę nie białą, tylko czerwoną. Myślałem, że go zabiłem, że to czerwone to krew jego... Pierwszy raz w życiu w taki szau wpadłem.

Pyt: To był porządkowy całego tego oddziału, tak?

Oddziału, tak. On się nazywał bodajże Kamiński, ale nie jestem przekonany, czy to ten. Już go więcej nie widziałem, tylko słyszałem, że nazywał się Kamiński.

Komendantem całego tego pawilonu był Andrzej Krzewina. Myśmy go nazywali "ojciec Wronek". Jeśli bym się dowiedział, że ktoś na tym człowieku psy wieszka, to bym zwymyślał go. Bo trzeba we Wronkach siedzieć tyle lat co ja, żeby poznać Andrzeja Krzewinę. On jak ryczał! Boże kochany, jak lew ryczał! - ale nikomu nigdy nie dał krzywdy zrobić.

I on wtedy do mnie:

- Uspokójcie się...

- Niech pan nie otwiera drzwi, bo zabiję, każdego sukinsyna zabiję...

Nie wiem, czy to trwało dwie godziny, czy pół godziny, nie wiem. On jakoś mnie uspokoił:

- Ja wam otworzę wam drzwi, tu nikogo nie ma, pójdziecie pod swoją celę.

Tak poprzemawiał, poprzemawiał i ja się uspokoiłem. Podobno jak wszedłem do celi, to byłem blady jak ściana. Nic potem nie było.

Tam na sześciu w celi to zdaje się pięciu profesorów siedziało, Wileńskiego Uniwersytetu. Nazwisko jednego pamiętam: Zieliński, historyk. Był taki anglista, szekspirolog. Ten człowiek płakał, żeby mu dali pisać, bo on pisał jakąś rozprawę. Słyszałam, że skończył, ale pod jego nazwiskiem ona się nie ukazała - jakiś szubrawiec wziął to.

Pyt: Jaka była hierarchia służby więziennej? Krzewina był komendantem pawilonu. Całe skrzydło to był pawilon?

Nie. Top był pawilon I i składał się z czterech skrzydeł. Pawilon II był mniejszy, i był III pawilon. I albo II pawilon był pracujących. Wyroki takie: "wiedział nie powiedział". Oni tam pracowali.

Później zrobili - chyba w 1948 albo 1949 - pawilon inteligencji. II pawilon. Popakowali nas jak śledzie. Ale to krótko trwało, parę miesięcy.

Pyt: Pawilony się dzieliły na oddziały i one się nazywały od skrzydła i od piętra? I B, to znaczyło skrzydło B i parter?

Oddział pierwszy, drugi, trzeci i czwarty B. Na czwartym to już były same te "szafy". Tam siedziałem, jak przywieźli Tatara i innych. (...)

Pyt: Czyli oddział np. I D to znaczyło: skrzydło D parter?

Tak. Oddział D to miał cele tylko na parterze; na pierwszym, drugim i trzecim piętrze była administracja.

Teraz powiem Panu o 1948 roku. Słyszał pan o sprawie "białych kapitanów"? Francuski attache, Polak, bodajże jego nazwisko Rybicki. Nazwano go białym kapitanem, bo chodził w białym mundurze, bo służył w wojskach kolonialnych. Pewnej nocy - szum. Co jest, co tam się stało? Latają po celach, coś tam koło drzwi robią... A to tych wszystkich porządkowych [wyrzucili]. Oddziałowi odetchnęli. Oddziałowi nienawidzili tych porządkowych. Ci porządkowi, nawet ci pośmieciuchy, to przeważnie we Wronkach byli kryminaliści. (...)

Pisałem we Wronkach prośbę o przerwanie odbywania kary czy coś takiego - chłopak z Lubelskiego czy z Białostockiego, w każdym razie ze wschodnich ziem Polski. Woła mnie oddziałowy:

- Jaworski, umiecie pisać?

- Pewno, że umiem pisać, chodziłem gdzieś koło szkoły.

Prowadzi mnie do tej dyżurki. Siedzi ten chłopak.

- Napiszecie mu prośbę o [przerwanie odbywania kary?].

Siadam koło niego:

- Jaki pan ma wyrok?

- No nie wiem, coś dwa-tyś lata.

- A kiedy pana aresztowano?

- Ano chyba - mówi - jesce jak Stalin zył.

- A za co pan siedzi?

- A nie wiem.

- No, człowieku - mówię - o co chcesz, żebym ci napisał prośbę?

- A żeby mnie wypuścili. Bo psecie, panie, tam [na gospodarstwie] tseba robić!

Mówię:

- Panie oddziałowy, przecież ja nie wiem jaki paragraf, jak ja będę pisał? Przecież ja muszę

znać jego akta, ja nie wiem nawet, za co siedzi, z jakiego artykułu.

On przychodzi:

- "Szerzenie wrogiej propagandy".

- Jaką propagandę on mógł szerzyć, jak on mówić nie umie po polsku? Przecież on się wysławić nie potrafi.

- Ano - powiada - przyjechali zakładać kołchoz. Zebranie, wysłuchali, a on się podnosi i mówi: Chłopy, nie idźta do tego kołchozu, bo tam nic nie będziesz miał, ani swoich gaci, spodni, ani żony, ani nic. W kotle będą gotować i będą dawać żryć i już. A żonę to kto będzie chciał, to będzie miał.

Ja mówię:

- Jaki on ma wyrok?

- Dożywocie.

Piszę to podanie. Piszę, że będąc na miejscu władz to bym nie skazał tego człowieka, tylko skazałbym tych sędziów, co go skazali. Bo przedtem to na pewno na tej wsi nikt nie chciał wierzyć w takie bzdury, a teraz to cała wieś i nie tylko ta, ale wszystkie okoliczne wiedzą, że to, co on mówił, to jest prawda.

I niech pan sobie wyobrazi, że on wyszedł. Ja się dowiedziałem, że on wyszedł.

Albo druga sprawa. Siedziałem z takim kapitanem Ludowego Wojska Polskiego. Pewnego razu on prosi, żeby mu napisać list...

- Bo ja czytać i pisać nie umiem.

- Co? - pytam.

- No, nie umiem, ja mam kapitana czasu wojny.

On bodajże na Wale Pomorskim wykazał się odwagą, dostał awans: "kapitana czasu wojny". I później służył w KBW: "bierny, mierny, ale wojenny". Gdzieś jakaś akcja była na "bandy leśne" i jego zrobili oficerem łącznikowym. Dali mu meldunek, miał go dostarczyć jakiemuś dowódcy. Akurat trochę w bok była jego wieś. Poszedł. Popili sobie, on się wygadał, gdzie on jedzie - i zabrali mu te papiery. W wojsku zaraz broń mu zabrali, pas mu zabrali i pod sąd. I ten człowiek dostał zdaje się karę śmierci, a zmienili mu na 15 lat. No gdzie człowieka ni pisaty ni czytaty zrobić oficerem łącznikowym? To tak, jakby mnie zrobili dowódcą armii - już ja bym ich wyprowadził... Na grzyby chyba.

Albo siedział taki gość z Lubelskiego, przewodniczący Gminnej Rady Narodowej. Zebrał podatki, przyszli "obywatele lasów państwowych", przyszli, pistolet przystawili do główki i: "dawaj". Pan by nie oddał? Oddałby pan. Na sądzie dali mu 10 lat. Mówił:

- Wysoki sądzie, przecież jakbym nie dał, to mnie by zabili.

- Ale to byście byli bohaterem. Na waszej wsi byłby wasz pomnik.

- To już ja wolę te 10 lat posiedzieć.

Jeszcze go amnestia objęła, odjęli mu 5 lat.

Płakać się nieraz chciało, a nie tylko śmiać. (...)

Jeśli chodzi o tych porządkowych - [po ich wyrzuceniu] oddziałowi odetchnęli; byli zupełnie innymi ludźmi. Bo oni [oddziałowi] się ich [porządkowych] bali, jak nie wiem co. Niech pan sobie wyobrazi, jaki był stosunek oddziałowych do kapusiów. Powiem panu taką sprawę. Był taki naczelnik Grabowski. On wymyślał, aby tylko tych więźniów [pognębić?]. On powiedział, że jest ważniejszy jak sekretarz powiatowy, bo ma więcej ludzi:

- U mnie we Wronkach to jest więcej jak sześć tysięcy ludzi...

Owszem, mieli więźniowie papierosy, a trzy razy dziennie dostawali ogień - po śniadaniu, po obiedzie i po kolacji. Przychodził oddziałowy i przypalał papierosa. (...) Ale kiedyś poszedłem po paczkę, przyniosłem do celi, patrzę - a w cukrze dwie paczki zapalek. A był taki więzień - Marzec nazywał się. To był kapuś. Ani paczek nie dostawał, ani pieniędzy nie

miał, nic - a palił.

Pyt: Opalał was, tak?

Tak, kołchoz był taki.

No i tam taki był Lwowiak jeden, mówi:

- Ty taka twoja mać, jak coś wykapujesz, to cię powiesimy.

A tam kiedyś za Niemców robili siatki maskujące i zostały haki. Na tym haku go powiesił, jemu prawie oczy na wierzch wyszły, mówię:

- Zdejmij go, bo się udusi.

No ale jak [Marzec] już podpisał [współpracę], to musiał coś kapować. I wykapował te zapalniczki. A tam były takie wentylacyjne kanały, i w tym kanale kawałek cegły wychodził i tam te zapalniczki chowałem. Pięknego ranka:

- Wyłazić!

Robią kipisz, celę przewracają do góry nogami. A my nic, siedzimy.

- Jaworski, gdzie są zapalniczki?

- W celi.

- Nie ma.

- Są.

- Gdzie?

- W przewodzie.

- Co wy mi będziecie pieprzyć, nie ma!

- Jak mówię, że są, to są.

Poszedłem, rękę wsadziłem, wyjąłem, ale drugą paczkę zostawiłem.

- Są tu, proszę.

- A skąd macie tyle zapalniczek? Kto wam dał?

- Po prostu oddziałowy nie zauważył, że w paczce w cukrze były.

- Nie mogliście mi powiedzieć?...

- Panie oddziałowy, ja się nazywam Jaworski, a nie Marzec.

Zabrali Marca z sobą, a ja czekam na karny raport. Nie dostałem nic. Pytam:

- Panie oddziałowy, dlaczego?

- Dlatego, że wy się nazywacie Jaworski, a nie Marzec.

Oni tak kochali kapusiów.

Pyt: Czy była jakaś samoobrona przed kapusiami?

A co pan mógł mu [kapusiowi] zrobić? Tylko tyle, że jak był kapuś, to na spacerze pokazali go i powiedzieli [więźniowie], że to kapuś.

Pyt: Nie było żadnych pobić czy zabójstw kapusiów?

Kiedy na celi-pojedynce było sześciu ludzi, to nie było możliwe zabić go. Czasem dostał w łeb...

Była taka akcja "W" - pytać, badać, czy nie ma chorób wenerycznych, i przy okazji szczepienie przeciwtyfusowe. Wszystkich wzywali, a lekarz czy sanitariusz, diabli jego wiedzą, wstrzykiwali to. I w pewnej chwili szum taki - co jest? Kapusia złapali. A na każdym oddziale była taka beka, chyba 200 albo więcej litrów, wody pełno, przeciwpożarowa. A tego kapusia wsadzili łbem do tej beczki. Żeby zamknęli drzwi - a oni zostawili otwarte, on walił nogami, i [znaleźli go], uratowali go. Ale chyba ze dwa tygodnie w szpitalu leżał.

Pyt: Czyli w zasadzie chciano go zabić?

Zabić, tak. On nie wiedział, kto go wrzucił. Nikt nie wiedział.

Pyt: To było podczas szczepień, tak?

Tak. On poszedł do ubikacji, a jego cela już poszła [na szczepienia], a on został do ubikacji... No i... Komuś się musiał przysłużyć.



Pyt: To był jakiś groźniejszy kapuś?

Nie wiem, nie wiem nawet, jak on się nazywał.

Powiem panu taką trochę śmieszna historię. Akurat w tej celi, co była akcja szczepień, siedział więzień - jak on się nazywał, nie wiem, pseudonim "Siekiera", od "Ognia" z Podhala. Szczepienie - chłopak chodzi po celi...

- Co, ty się boisz? Strzałów się nie bałeś i Montelupich odbijałeś, a tu się boisz?

Oddziałowy otwiera celę... A w każdej celi było łóżko składane i na tym łóżku [podczas dnia] sześć sienników leżało, każdy siennik był z takim pyłem, że pomału się go kładło, bo kurz leciał jak cholera. Sześć tych sienników [jeden na drugim] leżało. I my wychodzimy, oddziałowy:

- Ilu was było?

- No sześciu.

- A gdzie szósty?

No to szukają...

- To chyba został w celi.

W celi nie ma. Jak to nie ma? Patrzymy, te sienniki tak jakoś... A on ["Siekiera"] pod te sienniki wlaż! Jak, to czort jego wi. Tak się bał zastrzyku. To wszystko podniósł i wlaż. Byłby zginął, żeby ten oddziałowy nie zauważył - udusiłby się, nie ma cudów. I nie zrobili mu tego zastrzyku...

Ale ja się mu nie dziwię. Po powstaniu wróciliśmy do Warszawy, spotkało nas się trzech kolegów, a jeden strasznie lubił słodycze. Mówimy:

- Chodźcie, idziemy na kielicha.

- Nie, nie idę na kielicha - on mówi - ja wódki nie piję.

- No to chodź, jakieś pączki czy coś tam jest.

A jak byłem mały chłopak, to pszczoła użądliła mnie. To strasznie boli, jak pszczoła ugryzie. I do dziś panicznie się boję pszczoły. A on jakieś ciastka sobie wziął z marmoladą - panie, to tych pszczół [się nazleciało]! A ja pod stół!! I uciekłem z tej cukierni... Panicznie się boję pszczół... Powstaniec. (...)

Ja z Wronek, jak pan słyszy, więcej anegdot zapamiętałem i o tym mogę mówić. O tych przykrych też mogę mówić, o Wronkach. Ale o śledztwie nie mogę mówić.

Pyt: Czy w czerwcu 1956, kiedy były pogłoski o powstaniu w Poznaniu, były pogłoski o groźbie likwidacji więzienia? Czy były takie obawy wśród więźniów?

Podobno więzienie było otoczone wojskiem. Podobno. Ale kto tam to widział? Wtedy ani widzeń, ani nic nie było. (...)

Pyt: Czy były pogłoski o grupie ludzi z Poznania, która jechała z zamiarem odbicia Wronek?

Tego nie słyszałem. (...) Ale żeby w 1956 roku któryś z tych wielkich asów próbował zlikwidować Wronki, Sztum albo Rawicz - to ja nie wierzę. 1956 to nie 1946 rok. Ja w to naprawdę nie wierzę. (...)

Pyt: Czy słyszał Pan o próbach zemśczenia się na jakimś "specu" czy kapusiu po wyjściu na wolność?

To był chyba rok 1954. Właśnie stąd znam to nazwisko Kamiński. Taki był porządkowy, fryzjer, Ślązak. Jakąś tam grupę [partyzancką] stworzyli, na dwudziestu mieli jakiś zepsuty karabin [i za to znalazł się we Wronkach]... Ja siedziałem wtedy na pojedynce, dała mi ta pojedynka w kość. (nieczyt.) chociaż mówiono, że każdy fryzjer to kapuś, on się zaklinał, że nie... (nieczyt.)

- Pan wie, że Kamińskiego zadźgali na moście!...

- A kto to był?

Kamiński czy Koźmiński, coś w tym rodzaju. Boluś czy Boguś, też nie jestem pewien.

- Zadźgali - mówi - na moście.

- A kto to był?

- Nie wie pan? To był taki superkapuś we Wronkach.

Jego [tego kapusia] zwolnili, twarz zobaczył gdzieś tam [na mieście] i chciał tu z powrotem wrócić. Walił do bramy, a naczelnik powiedział:

- Ja go nie mogę przyjąć, bo on jest zwolniony.

I jego zadźgali. Nożem go podobno zarżnęli.

Pyt: Na moście we Wronkach?

Tam był jakiś most, jak mnie prowadzili, to był most przez Wartę. Taki mostek był. I jego tam podobno zadźgali.

To mi mówił oddziałowy o tym. Że był taki wypadek. Ale nie mówił, kto zabił... Właśnie zięć tego "Dziadka", on mi powiedział. Chodziły głosy, że będzie amnestia, że nas wypuszczą. A on:

- A to był taki jeden, on był zwolniony...

O nic więcej nie chciałem go pytać. Jak pan w więzieniu siedział, to jak pan zaczynał pytać o tego czy tamtego - to już [podejrzane było]. Nikt nikogo nie pytał.

\* \* \*

Moja rodzina - żona z dzieckiem i matka - mieszkała w Warszawie. Najpierw żonie i matce dali ubeka; podobno się powiesił czy zastrzelił. Żona mówi, że on nie był taki [zły]...

Potem moją rodzinę wysiedlili z Warszawy. Przyjechało ich piętnastu, jak Gestapo albo jak NKWD, i prawie tak jak stała, żona z dzieckiem i z matką starszą zostały wyrzucone jak śmieci. To była "władza ludowa", to była "demokracja"! Oni się dziwią, że ja ich nienawidzę. Ja ich nienawidzę gorzej jak psów wściekłych. Ja byłem przypuśćmy winien, ale co winna moja rodzina, mój syn, moja matka?!...

Wyrzucili - do Przemkowa czy Przymkowa, w zielonogórskim. Tam same k... i złodziei wysyłano, takie to było miejsce. Tzw. element przestępczy. I między nimi nasze żony.

Pyt: Kiedy to było?

Chyba w 1951 czy 1952, przed śmiercią Stalina. To moja żona lepiej będzie wiedzieć. (...)

Pyt: Krzewina do kiedy się ostał w więzieniu?

Jak mnie zabierali z Wronek, to on nadal był.

Tam naprawdę było [kilku porządnym ludzi w obsłudze więzienia]. Był taki - też nie pamiętam nazwiska - "Dziadek" taki. On podobno przed wojną był i za Niemców był tam, z zięciem. Ten zięć nigdy nie nosił czapki tak [prosto], tylko krzywo - dlaczego, nie wiem. Dużo było we Wronkach [porządnym] oddziałowych - tak jak ten, co mi zapałki dał. Naprawdę nie zrobili nikomu krzywdy.

Był taki jeden, to go żeśmy nazywali "Psi ch.". Czytać, pisać nie umiał, mówił [rozdając korespondencję]:

- Widzita, poszukajcie swoje listy...

Jemu tego nie wolno było robić.

- Wy jesteście wykształceni, no i po co wam to było? Widzita, moja matka pracowała za złotówkę na miesiąc, a ja chodziłem po nocach chlib świniom kraść.

Ja mówię:

- No tak, panie oddziałowy, swój do swoich poszedł po swoje.

- No, no, widzita, widzita...

No i poszedł. Już tego Grabowskiego nie było, już był inny naczelnik, ale myśmy tego nie wiedzieli. On [ten oddziałowy] przychodzi:

- Aaa, to wyście mi tak nawymyślali! Nazwisko wasze!

Musiał gdzieś pójść i pochwalić się, powiedział, co mu powiedziałem, no i mu powiedzieli,

że "on cię świnią nazwał!"... Wzywa mnie naczelnik. Wchodzę, melduję się.

- Naubliżaliście oddziałowemu, możecie się wytłumaczyć?
- Obywatelu naczelniku, jestem więźniem, nie mam nic do gadania.
- Co wy mi tu gadacie?
- U tamtego naczelnika nie było nic [więzień nie miał nic do gadania].
- Ale tamtego już nie ma, jestem ja. Podobno żeście go świnią nazwali...
- To nieprawda.
- Więc jak to było?
- Mówię, jak było.
- Prawda to?
- Panie naczelniku, proszę wezwać innych, niech oni powiedzą, akurat ci sami siedzą.
- Dobrze, możecie odmaszerować.

A ja czekam. Mówię:

- Chciałbym wiedzieć, jaką karę mam?
- To ja bym wam powiedział, a teraz odmeldować się!

Na drugi dzień pana oddziałowego nie ma. Patrę - pan oddziałowy, co świniom chlib chodził kraść - w chlewni pracuje. To poszedł, tak jak powiedziałem, na odpowiednie miejsce. Ale podobno ten naczelnik, co był ostatni, to był prawnik z wykształcenia.

Podobno był to człowiek, który potrafił wysłuchać, nie był krwiożerczy. Zresztą dużo się zmieniło przy nim [na lepsze] - izolacja płucnochorych, dużo, dużo.

Pyt: On już przyszedł po śmierci Stalina?

Tak, tak.

[Innym razem] jest "przerzutka" [przeniesienie do innej celi]. Zupełnie nowa cela, i jest taki pan... Trochę zachorował [psychicznie], coś sobie ubzdurał, drewniaki ściągnął z nóg i boso chodził... Zupełnie zwariował.

A drugi siedział i mówił, że jest komunistą. A wie pan - myśmy się modlili; to ten [komunista]:

- Co, wy się modlicie?!...
- A ty co za jeden?
- Ja, komunista.
- Co ty tu robisz, jak ty komunista?

No i ten właśnie wariat mówi tak:

- Słuchajcie, ja się przekonam, czy on jest komunista, czy nie.

Żebyśmy wiedzieli, jak on się przekona, to byśmy go pilnowali... Tam była taka mała miska, i akurat mył się w niej ten komunista. A ten [wariat] chodzi, i mówi:

- A ja teraz zobaczę, czy ty jesteś komunistą...

I tym drewniakiem go z całej siły w łeb! A ten mówi:

- Jezus Maria.

To ten wariat do niego:

- A ty, taki nietaki, to ty Jezus Maria, a nie Józef Stalin wołasz?!

Zabiłby go wtedy! Piana mu na ustach wystąpiła! Wezwaliśmy oddziałowych... Zabrali go [wariata] do szpitala, później jak ja byłem w szpitalu, to słyszałem, że on się tam podobno chwalił, że "sprawdzał, czy komunista jest komunistą". Podobno potem poderżnął sobie moszną blachą - zawsze za łóżkiem siedział, a nagle podczas ciszy podniósł się, klapę [w drzwiach] spuścił i stoi. Oni [oddziałowi] się patrzą:

- Co wy chcecie?
- Do depozytu chcę oddać.

Oni patrzą, a u niego pod nogami taka struga krwi. Wołają:

- On sobie coś zrobił, krew jemu leci!

Szum, zabrali go. Taki podobno był wypadek.

A [w naszej celi] za parę dni - jakaś kontrola z departamentu więziennictwa, major czy pułkownik pyta, co, jak. My mówimy: ni tak, ni siak. Co będziemy mówić? A on [komunista]:

- Obywatelu inspektorze, ja proszę, żeby mnie tu dawali pisma Marksa, Lenina, Stalina, Engelsa. Bo ja jestem komunistą, przed wojną byłem.

- Przed wojną byliście komunistą? Za czerwone papierki żeście sprzedawali towarzyszy! Ile wam dali wyroku? Za mało!...

Na drugi dzień komunistę zabrali. Taki wredny typ. (...)

\* \* \*

[Koniec]